

*Przyjaciele radzili mi, żeby z tym listem poczekać: – Nie dawaj sępom na rozdrapanie, rozdziobanie i pożarcie tego, czym sam żyjesz – mówili. Jednak zdecydowałem się na to, bo może z okruchów pożywią się małe ogrodowe ptaszki, a i jakiś orzeł przyleci i uświadomi sobie, że może wznieść się o wiele wyżej niż dotychczas...*

## **LIST DO „ZIEMSKICH ANIOŁÓW KRAWĘDZI”**

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

„Nikt nie ma większej miłości niż ten, kto życie swoje oddaje za swoich przyjaciół” – za tych, którzy są nimi dzisiaj, ale i za tych, którzy będą nimi w przyszłości, a dzisiaj są jeszcze wrogami!

### **KIM JESTEM**

Jestem najzwyczajszym księdzem katolickim w służbie czynnej, choć bez tytułów i urzędów, żyjącym na uboczu wielkiego świata (bez prasy i telewizji, bez kontaktów towarzyskich), zanurzonym w modlitwie i pracy. Wolałbym pozostać nieznanym, a nawet publicznie nie występować pod własnym nazwiskiem, jednak... noszę w sobie Boże tajemnice, z których jedna wymaga właśnie teraz ujawnienia – stąd ten mój list, skierowany do szerszego ogółu.

Moi przodkowie ze strony matki wywodzą się z Litwy (gdzie, oczywiście, w ostatnich pokoleniach uważali się za Polaków), a ze strony ojca – spośród Polaków z okolic Lwowa. W domu przechowywaliśmy dokument, potwierdzający szlachecki tytuł i herb „Zadora” („Płomień”) jednego z naszych protoplastów, chyba Ignacego. Pradziadek Dominik stamtąd właśnie przywędrował, kupił majątek Sekuła pod Siedlcami, wybudował młyn i z niego się utrzymywał. Na granicy swojej posiadłości postawił dębowy krzyż, który zachował się do dzisiaj i stoi teraz przy (innym już) młynie w pobliżu dawnego siedliska. Kozacy młyn pradziadka wraz z gospodarstwem spalili w 1914 roku, a jego dziewięcioro dzieci sprzedało ziemię i rozeszło się po świecie, zaś wojna oddaliła ich od siebie jeszcze bardziej. Mój dziadek, który miał w Siedlcach piekarnię i sklep, za swoją „dole” pobudował drewniany dom kilometr od dawnego młyna i w tym domu, chyba cudem ocalałym z pożaru w czasie II wojny światowej (spaliło się jednak całe piętro) ja się wychowałem wraz z trojgiem rodzeństwa.

Bóg chciał, żebym zamieszkał na granicy wsi i miasta, rozumiejąc sprawy jednego i drugiego środowiska. Nieraz, zanurzony w pięknie przyrody, chętnie modliłem się na skraju lasu, wpatrując się w bezkresną dal nieba. Przy zachodzie słońca przybierało ono barwę różową, wyzwalając w mojej duszy tęsknotę za Prawdziwym Niebem, w którym dane mi było przez chwilę się znaleźć. Miało to miejsce przy zasypianiu – do dzisiaj zaglądam do tego kąta w starym domu – w wieku, którego już nie pamiętam. Nagle zobaczyłem swoje leżące ciało z zewnątrz, a moja dusza została uniesiona daleko od niego i znalazła się na progu przepięknej kolorowej krainy, tchnącej ogromnym szczęściem i wolnością. Była to wolność od dwóch mocnych „lin”, które nas wiążą na ziemi: od przestrzeni i od czasu. Tak, wtedy doświadczyłem istnienia niebiańskiej wieczności, i to tak porywającej, że absolutnie nie chciałem z niej wracać do ciała. Musiałem jednak w nie wejść, ale z moich ust wyrwał się rozpaczliwy okrzyk, zapamiętany przez ciocię Sabinę, czytającą książkę przy lampce: „Ciociu, ja w tej chwili chcę umrzeć!” Mój duch odtąd jakby się „poszerzył”, zakorzeniając się w tej Krainie, i nieraz porywał mnie do niej w oparciu o tamto wspomnienie. Ziemia w tych momentach, często nieoczekiwanych, zaczynała się kurczyć, oddalać, a radosna myśl: „Żyję wiecznie”, połączona z odczuciem na nowo atmosfery tamtej wspaniałej „wizyty”, miała w sobie coś z ekstazy. Właśnie niebo przy zachodzie słońca często pomagało mi wejść w tę „ekstazę”, która miała ogromny wpływ na moją późniejszą modlitwę oraz na pragnienie oddalenia się od świata.

Do szkół uczęszczałem w Siedlcach, odległych (wówczas) o 5 km – od podstawowej nr 5 poprzez Liceum im. Bolesława Prusa aż do szóstego roku seminarium duchownego. Jeśli do tego dodać studia na KUL magisterskie, a potem doktoranckie – moja nauka trwała łącznie ponad 23 lata! Nauczyłem się też – od swojego ojca, który sam umiał niemal wszystko zrobić – majsterkowania, obchodzenia się z pszczołami i z koniem sąsiadów, trochę ogrodnictwa. Był przed wojną zawodowym oficerem w stopniu porucznika łączności. Odznaczony krzyżem zasługi za udział w kampanii wrześniowej, całą wojnę przesiedział w jenieckim obozie Murnau w Bawarii. Mimo ostrzeżeń kolegów, że „pojedzie na białe niedźwiedzie”, wrócił od razu do Polski z mocną decyzją, że będzie miał czworo dzieci. Podobno skutek „oświecenia” w obozie poznał nawet nasze symboliczne imiona. Gdy się ode mnie dowiedział, że idę do seminarium, stwierdził, że

zawsze o tym wiedział, bo moje imię brzmi „Sól Ziemi”... Byłem pod wielkim jego wpływem, choć życie miał ciężkie, a czasu wolnego prawie nigdy. Określał siebie jako „małorolny” i robił wszystko, by dopasować się do stylu życia wiejskiego otoczenia, z początku może nawet z obawy przed aresztowaniem. Nie pojechał do jednostki, do której po powrocie z obozu otrzymał przydział, ale poprosił swojego kolegę w sztabie, by zniszczył jego dokumenty. Przez długie lata nie wiedział, czy tamten rzeczywiście to uczynił. Gdyby bezpieka dowiedziała się, że przed wojną prowadził w Kołomyi nasłuch sowieckich radiostacji, „białe niedźwiedzie” by go nie ominęły! Jako łącznościowiec skonstruował radio kryształkowe, mieliśmy więc w słuchawkach wieści ze świata, a nawet przekazywaliśmy je sąsiadom do czasu, gdy pojawiły się lepsze radiodbiorniki.

Z obozu jenieckiego mój ojciec przywiózł zainteresowanie prorocत्वami i przepowiedniami, dotyczącymi najbliższej, jak się wydawało, przyszłości, a Apokalipsa św. Jana stanowiła jego niedzielną lekturę. Odważył się nawet skontaktować z o. Augustynem Jankowskim, jej tłumaczem, wykazując mu niekonsekwencje w komentarzu do niej. Niestety dawni alianci zawiedli i oddali Polskę w ręce Sowietów, oczekiwana wojna o Polskę nie wybuchła, więc żyjąc pod butem komuny mój ojciec często karmił swoją nadzieję m.in. tzw. „przepowiednią Tęgoborską”. Jeden z jej wersetów zapowiadał: „Trzy lat dziesiątki we łzach i rozterce trwać będą cierpienia ludu, a potem przyjdzie jedno wielkie serce i samo dokona cudu”. Przeliczał lata, czekał; nawet na moim chłopięcym „skarbie-marzeniu” – lornetce, na którą długo ciułałem pieniądze – wydrapał datę „żelazną i nieprzekraczalną”: 1975. Był dla mnie autorytetem, więc i tę datę „cudu” nosiłem głęboko w swoim sercu i czekałem w napięciu na ten rok razem z nim. To napięcie dawało o sobie znać w kontaktach z otoczeniem. Ponieważ wspominałem wtedy o (poruszonym niżej) danym mi już w dzieciństwie oglądzie „świata przemienionego” – było naturalne, że moje wizje przyszłości zlewały się w tamtych chwilach z datą 1975. Kto wie, czy wkrótce po tej dacie nie przylgnęła do mnie etykietka „fałszywego proroka”?

### **WGLĄD W PRZYSZŁOŚĆ I JEGO KONSEKWENCJE**

Od najmłodszych lat cieszyłem się darem oglądania przyszłości, chociaż nie zdawałem sobie sprawy z tego, że to przyszłość. Teraz wiem, że poznałem wtedy kolejne etapy swojego życia i miejsca, w których miałem być. Wszystkie się potwierdziły, z wyjątkiem mojej pracy przy ścinie drzew w obozie na Syberii, co mi zostało darowane. Moje otoczenie czasami dziwiło się temu co mówiłem. I tak np. moja mama, lekarz pediatra, często pracująca na nocnych dyżurach (z konieczności – z powodu biedy w domu) tłumaczyła się przede mną, że nie może poświęcić mi więcej czasu. Usłyszała taką odpowiedź (a miałem wtedy 3 lata): „Jak będę duży i będę księdzem, to ci czas poświęcę”. To „prorocत्वo” spełniło się: przez ostatnich 10 lat życia miała mnie przy sobie, mogła uczestniczyć w codziennej Mszy świętej. Inny przykład: kręcono głowami, gdy w czasach PRL-u, a więc zagłuszania Wolnej Europy, bezczelnej cenzury i podsłuchów mówiłem, że niedługo biskup będzie miał swoje radio i będzie się komunikował z całą diecezją, a w sklepach owoce południowe będą w cenie jabłek...

Moje wzmianki o przyszłych wydarzeniach, związanych z (bliskim już) nadejściem świata w zupełnie odmiennym kształcie niż ten, w którym go dzisiaj widzimy – szczęśliwego niemal jak raj – okazały się dla mnie „zabójcze” w jakiś czas po święceniach kapłańskich. O ile ludzie świeccy słuchali tych opowiadań z zainteresowaniem, choć nieraz może jak bajki o żelaznym wilku, o tyle otaczający mnie duchowni robili sobie ze mnie na ogół pośmiewisko. Dla nich takie pojęcia, jak koniec starego i początek „nowego świata”, były zupełnie niezrozumiałe, więc w duchu odsyłali mnie do wariatkowa. Zresztą nie darowali mi wyłączenia się z życia towarzyskiego, jeżdżenia (do dzisiaj) małym fiatem, czy też innych „dziwactw”... Uznali mnie za pomyłonego głosiciela nadejścia „końca świata”, nie umiając odróżnić tego „końca” od oczyszczenia i przemiany świata, zapowiedzianej przez Matkę Bożą w różnych Jej objawieniach. Zresztą do dzisiaj nie umięją, a może i nie chcą... Złą o mnie opinią dzielili się między sobą, a bywało, że i wobec szerszego gremium.

Moi biskupi ordynariusze byli chyba zadowoleni, że żyłem na uboczu, niemal w izolacji, i niczego od nich nie oczekiwałem, prócz tego wielkiego przywileju, że bym mógł mieszkać z Jezusem Eucharystycznym pod jednym dachem jako prowadzący prywatną poradnię życia duchowego. Praca ta wymagała stałej gotowości służenia ludziom, ale też dawała mi ogromną satysfakcję. Moje dawne marzenia o tym, by mieć pracę niezależną od jakichś „szefów”, a pozwalającą na wyciszenie i kontemplację, w pełni się ziściły.

Gdybym był kamedułą, do czego się przymierzałem swego czasu, brakowałoby mi na pewno tego elementu niezależności.

Skoro wspomniałem o poradni – opartej na spotkaniach, listach (zwykłych i internetowych), telefonach, proponowanej lekturze – dziękuję korzystającym z niej za zaufanie. Przez 20 lat powierzali mi swoje sprawy, które uważali za najważniejsze, najtrudniejsze i najpilniejsze: od prośby o pomoc w przyzwyczajeniu malucha do nocniczka, poprzez wsparcie w zdawaniu różnych egzaminów, aż do ratowania rozpadających się małżeństw, chorych, zniewolonych... Wszystkie prośby starałem się traktować poważnie i życzliwie, a jeśli kogoś nie rozumiałem, potraktowałem nieodpowiednio, a może nawet zraniłem – bardzo przepraszam i proszę o wybaczenie. Obiecuję też wszystkim, że gdy Bóg zabierze mnie do siebie, będę w Jego Niebiańskim Pałacu gorliwie pracował do końca świata, mając stale ucho zwrócone ku ziemi. Tak, „ucho” zastąpi i listy, i słuchawkę telefoniczną, a ilość rozmów będzie nieograniczona!

Dotyczy to także tych, którzy otrzymywali ode mnie błogosławieństwo jako chorzy, przy spotkaniach lub przez telefon. W jakiś sposób do skuteczności tego błogosławieństwa przyczynił się Jan Paweł II, który w Ogrodach Watykańskich, na 10 dni przed zamachem na Jego życie, słysząc ode mnie: „Proszę Waszą Świątobliwość o wzmocnienie we mnie daru uzdrawiania chorych” odpowiedział: „Niech Bóg błogosławi”. Gdy się z Nim spotkam, na pewno będziemy wspólnie pomagać chorym już z tej Krainy, gdzie możliwości czynienia dobra są nieskończone!

### OSTATNIE KSIĄŻKI

Dane mi było napisać i wydać kilkanaście pozycji różnego formatu. Nie wspominam o listach, które, choć adresowane do konkretnej osoby, okazywały się pomocne innym i były powielane, jak też książek oddanych mi do korekty, a wymagających gruntownego przepracowania. Tu odniosę się tylko do treści dwóch ostatnich swoich książek.

Już wiele lat temu wspomniałem swojemu stałemu spowiednikowi o „snach-wizjach” z dzieciństwa, a on zachęcił mnie do ich spisania, jednak wtedy uznałem to za niewykonalne: przecież nie prowadziłem notatek, zbyt wiele szczegółów poszło w zapomnienie. Przyszedł jednak rok 2004/2005, kiedy to nie mogłem oprzeć się wewnętrznej potrzebie przelania swoich dawnych doznań i wizji na papier. Jestem przekonany, że było to Boże natchnienie, a nawet coś w rodzaju „posłania”. Teraz widzę, jak bardzo było (i jest!) potrzebne zabranie przeze mnie głosu w tej materii. Gdy jedni, z hierarchami Kościoła włącznie, odrzucają z niechęcią nawet wzmianki o „Nowym Świecie” (mimo tytułu objawień Maryjnych i wzmianek ze strony bł. Jana Pawła II!), a Paruzję umieszczają na samym końcu świata, drudzy zaś (jak ostatnio Maria od Bożego Miłosierdzia) zaczynają błądzić – potrzebny jestem, by wyszedłszy z ukrycia z mocą oświadczyć: **wiele razy bywałem w tym „Nowym Świecie” i chyba po to ten dar otrzymałem, by móc teraz – gdy on jest już tak blisko – skorygować związane ze spojrzeniem nań błędy!** Dzisiaj, gdy moje książki żyją już własnym życiem, ode mnie niezależnym (nawet pierwsza z nich bywa uznawana za „bestseller”, rozpała w wielu sercach tęsknotę za tym szczęśliwym okresem!) – nie muszę się ukrywać. Zwłaszcza dlatego, że za prawdę, którą dane mi było poznać, gotów jestem wiele wycierpieć, gdyby było trzeba!

Przystępując do pracy nad książką o tym „Nowym”, obawiałem się dwóch przeszkód. Pierwszą z nich mogło być to, że jako doktor teologii miałem wkroczyć w jedną z jej dziedzin – eschatologię (naukę o rzeczach ostatecznych człowieka), musiałem więc liczyć się z obowiązkiem trzymania się w tym względzie wyłącznie oficjalnej nauki Kościoła. Ale jak miałem to uczynić, gdy chyba w żadnym podręczniku eschatologii, katechizmie, dokumencie Kościoła nie istnieje pojęcie „Powtórnego Przyjścia Jezusa”, odrębnego od Jego przyjścia na Sąd Ostateczny? Jeśli gdzieś istnieje, to tylko jako piętnowany pogląd heretycki! Istniało jednak w Kościele pierwotnym, i to tak wyraźnie, że było obecne nawet w zwykłym pozdrowieniu chrześcijan „Maranatha!” („Przyjdź, Panie Jezu!”), nie mówiąc już o atmosferze oczekiwania tak intensywnego, że odbierało uczniom Chrystusa ochotę do pracy, do zawierania małżeństw, do planowania przyszłości. Apostołowie musieli korygować te tendencje. Natomiast dzisiejsi apostołowie – myślę o hierarchach Kościoła – mówiąc łagodnie: bardzo podejrzliwie patrzą na kogoś, kto ośmiela się podejmować ten temat. Czekaloby więc mnie powierzenie swojego „nowonarodzonego dziecka” chropowatym rękom cenzora kościelnego, który raczej by się z nim nie pieścił, gdyż zapewne nie jest przygotowany – jak prawie wszyscy – do nieszablonowego spojrzenia na „Powtórne Przyjście Chrystusa”, które myliłoby mu się z

przyjściem naszego Pana na Sąd Ostateczny. Przeszkodę tę pokonałem w ten sposób, że napisałem nie podręcznik teologii, lecz *powieść*, łącząc w niej pewne wiadomości z różnych źródeł (podałem je we wstępie) z wątkami, opartymi na doświadczeniach z dzieciństwa oraz na pracy mojej wyobraźni. Jak wiadomo, powieści nie podlegają cenzurze kościelnej i nie wymagają aprobaty władzy duchownej. Poza tym powieść stwarza możliwość oddziaływania na sferę emocjonalną czytelników, a mnie chodziło przecież głównie o to, by bardziej przeżyli oni radosne spotkanie z „Nowym Światem”, niż by na zimno przemyśleli jego cechy.

Drugą przeszkodą mogło być moje nazwisko, łączone przez niektórych z fałszywymi poglądami na przyszłość Kościoła i świata, a przynajmniej z podejrzeniami o trzymanie się fałszu. W tym wypadku uciekłem się do zastosowania *pseudonimu* „Ivan Novotny” oraz imion bohaterów, które by odwracały uwagę od Polski. O mojej ojczyźnie pisałem jednak na tyle pochlebnie, że niektórzy czytelnicy kręcili głowami: „To nie może nie być Polak!” Jeśli chodzi o pochodzenie pseudonimu „Ivan Novotny”, wyjaśniłem je w książce „Wejść do radości”, stanowiącej drugą część mojej powieści (pierwsza to „Z Aniołem do Nowego Świata”). Jak dzisiaj widzę, nie okazał się on zbyt szczęśliwy w kraju, który przeżył okupację sowiecką...

Już wkrótce zakończę swoją misję na ziemi, także pierwsza moja książka okaże się nikomu niepotrzebna: wszyscy ocaleni sami, bez pośrednika, poznają „Nowy Świat” i jego piękno, którego nie potrafiłem dobrze opisać z powodu braku odpowiednich słów. Bo czyż można zwyczajnym, codziennym językiem oddać to, co jest aż tak bardzo odnowione, przemienione, nadzwyczajne? Nawet nie wspominałem więc w książkach np. o swoim wyjściu ze skromnej chatki na skraju młodego lasu (sosenki, brzoźki, krzaki, wrzosi i kwiaty, kwiaty...!) wiosną, bo... cóż w tym niby nadzwyczajnego? Jakimi słowami mógłbym oddać atmosferę tego miejsca? Jak opisać „materię podświetloną duchem”, materię skłaniającą do duchowych wzlotów, do radosnej kontemplacji, do fikania koziołków z radości? Do spontanicznego szukania policzka Boga Ojca, by się do niego przytulić i śpiewać, i dziękować, i szczebiotać w braku słów? Nie pisałem o przedziwnym doświadczeniu „Nowego” w Lublinie, gdy szedłem z KUL-u do biblioteki uniwersyteckiej i po drodze oglądałem całe otoczenie zanurzone w radosnej barwnej poświacie. Najpiękniejszy był widok drzew, otoczonych tęczą „aurą”, znaną mi z dawniejszych wizji. Taka „przebóstwiona materia” bardziej porusza serce człowieka niż jego zmysły i będzie, jak sądzę, wkrótce cieszyła pozostawionych na ziemi, pobudzając ich do okazywania wdzięczności Stwórcy.

Wobec pytań o moje pseudonimy i wątpliwości, czy nie posługiwałem się wieloma, muszę powyższe ujawnienie „powieściowego” („Ivan Novotny”) uzupełnić o jeszcze jeden (i ostatni zarazem), mianowicie „ks. Jerzy Nemo”. Dlaczego go używałem, wyjaśniłem w niewielkiej książeczce „Idę do Domu Ojca”, wydanej w Michalineum w 2009 roku. Zaakceptowało ten pseudonim zarówno Wydawnictwo, jak i Władza Duchowna, nie stawiając mi żadnych pytań. Uważam, że mogę się nim dalej posługiwać już nie z tego względu, że pozwala mi ukryć prawdziwe nazwisko, lecz że przypomina mi za każdym razem słowa, użyte w Środę Popielcową: „Pamiętaj, człowiecze, że prochem jesteś i w proch się obrócisz”. Przypomina, że bez pokory nie można podobać się Bogu... Na moich oczach w ciągu ostatnich 50 lat w kościołach zdetronizowano Chrystusa, usuwając Go z centrum do różnych miejsc, nie zawsze godnych, a nawet przyzwoitych. Jego miejsce zajął człowiek na swoim „tronie”. Gdy jednak zobaczy on (wkrótce) swojego Pana, jak ja Go widziałem, a za chwilę – jako biedny grzesznik – swój własny „majestat” (!), zrobi się bardzo mały. W „Nowym Świecie” wszystko i wszyscy znajdują się na miejscu dla siebie właściwym. Proszę się więc nie dziwić, że ja już teraz, czując się „nemo” (czyli „nikim”) przed Bogiem, staram się to miejsce zająć. A przed ludźmi...? Niech mówią i myślą co chcą, staje mi się to obojętne.

W kilku książkach innych autorów, które przygotowałem do druku, posłużyłem się skrótem tego pseudonimu: „ks. J.S.N.” (Jerzy Stanisław Nemo). Jerzy to moje drugie imię z Chrztu, a Stanisław – imię z Bierzmowania.

### **„OSTRZEŻENIE” – WIZJA I OCENA**

Byłoby nieprawdą, gdybym swoje „wizje” łączył tylko z okresem dzieciństwa, gdyż bardzo ważną otrzymałem około 30 lat temu. Wówczas nie miałem jeszcze dostępu do literatury, poruszającej tzw. „Ostrzeżenie” (wizję Chrystusa w otwierającym się niebie, otoczonego aniołami, a w chwilę potem sąd nad każdym człowiekiem ziemi, podobny do sądu szczegółowego po śmierci). Teraz wiem, że wydarzenie to zostało zapowiedziane przez Matkę Bożą m.in. w Garabandal (uwaga: objawienia te zostały uznane przez komisję biskupią za nadprzyrodzone i zgodne z nauką Kościoła, jednak obecny biskup ordynariusz wciąż

zwleka z ogłoszeniem światu tego faktu, a od niego to ogłoszenie zależy!). Bóg pozwolił mi przeżyć ten „mały sąd” – jak go niektórzy nazywają w odróżnieniu od Ostatecznego – w sposób dla mnie wstrząsający! Szczegóły tu pominię – niech pozostaną Bożą i moją tajemnicą – ograniczę się tylko do stwierdzenia, że cały świat wokół mnie przeżywał wtedy to samo, a więc... było to spojrzenie w przyszłość. Dziś, gdy wiem, że jest to przyszłość bardzo już bliska, odważam się ze swojego przeżycia wyciągnąć pewne wnioski i przedłożyć je Czytelnikom. Kto wie, czy nie pomogą one im samym, a może i innym ludziom, odpowiednio przygotować się do tego wydarzenia? A więc spróbuję teraz zagłębić się w nie – to właśnie **głównie „Ostrzeżenie” (i jego bliskość!) jest tą „tajemnicą noszoną w sercu”, wspomnianą na wstępie, prowokującą mnie do pisania niniejszego listu.**

Gdzie jest prawdziwa miłość, tam i tęsknota, pragnienie spotkania, przebywania jak najbliżej i jak najdłużej z ukochaną osobą. Tak też będą przeżywać ten „sąd” prawdziwi uczniowie Chrystusa. To spotkanie z Chrystusem przyniesie im najpierw wielką radość, a w chwilę potem – gdy zobaczą całe swoje życie oczyma Boga – ogromne pragnienie oczyszczenia, przemiany życia na lepsze, chęć dążenia do świętości w tym kształcie, w jakim Bóg ją dla każdego zaplanował.

Kojarzę sobie to przemożne pragnienie z dwoma obrazami: z pracą ostatnich robotników z Chrystusowej przypowieści o winnicy oraz z duszami, które po śmierci i sądzie szczegółowym zanurzają się w czyścicu. Robotnicy, wynajęci przez gospodarza wieczorem, po całym dniu bezczynności, wdzięczni mu za zatrudnienie rzucają się do pracy z taką ochotą, radością, nakładem sił, że w tej jednej godzinie zarabiają tyle, co inni przez cały dzień pracy. Dusze czyścicowe, poznawszy przez mgnienie oka swoje miejsce w Niebie oraz niedoskonałości, które je od niego oddzielają, rzucają się w otchłań czyścica z wielką ochotą, i to mimo czekających je cierpień. Podobnie postąpią „robotnicy” tej szczęśliwej epoki Ducha Świętego i Maryi Zwycięskiej, epoki królowania Jezusa w sercach ludzi świata: rzucają się do pracy nad sobą i do okazywania miłości Bogu, który do tej pory nie zawsze zajmował w ich życiu pierwsze miejsce.

Mogę tu dołączyć także trzecie skojarzenie, wzięte z życia rodzinnego. Mały psotnik spodziewa się kary i przed nią się chowa, jednak w końcu wychodzi z ukrycia i zamiast groźnej miny rodzica widzi jego uśmiech i pogrozenie palcem. To go ośmiela do rzucenia mu się w objęcia, przeproszenia i wyruszenia z zapalem do naprawienia szkody lub zaniedbań. Słucha, już bez lęku, rozlegających się za nim słów: Mały urwisie, bierz się do roboty i nie pokazuj mi się na oczy, dopóki tego nie zrobisz!

Na wątpliwość: czy to możliwe, by Chrystus-Sędzia zachował się w tym momencie podobnie jak ów rodzic wobec swoich krnąbrnych dzieci, którymi my jesteśmy? – w oparciu o swoje doświadczenie mogę odpowiedzieć: tak, właśnie tak z nami postąpi! Chociaż będzie to prawdziwy sąd, gdyż uświadomimy sobie nawet miejsce, na które zasłużyliśmy i w którym byśmy się wtedy znaleźli w razie natychmiastowej śmierci, jednak... nasz Sędzia będzie dla nas ogromnie miłosierny, a nie sprawiedliwy jak w momencie śmierci! Wprawdzie będzie to sąd podobny do tego po śmierci, jednak smutek zmiesza się z radością, która zwycięży i da nam, „urwisom”, nowe siły i zapal do pracy nad sobą, do jak najlepszego pełnienia swojego powołania.

Już samo poznanie tego powołania oraz przebytej drogi będzie dla wielu łaską, gdyż do tej pory mieli poważne wątpliwości, czy obrali właściwą drogę, czy posuwają się naprzód, czy podobają się Bogu. Zaniepokojeni o czystość swojego sumienia i o owoce dawnych spowiedzi (może zabrakło w nich szczerego żalu lub dostatecznie mocnego postanowienia poprawy?) – otrzymają światło w tej sprawie i, ewentualnie, możliwość „korekty”. Ci, którzy byli zagubieni wśród spraw błahych, przyziemnych, nieistotnych, osaczających ich jak pajęczyna złowionego owada – marnowali życie, lecz nie umieli znaleźć wyjścia z tej sytuacji – nagle zobaczą jakby światło w tunelu i rzucają się w jego kierunku. Obciążeni nałogami, zniewoleni, smutni, przegrani we własnych oczach, nagle zobaczą, że Bóg ich kocha i na nich liczy, i zapragną odpowiedzieć Mu swoją wielką miłością. Krzątający się na „śmietniku życia”, odrzuceni, wzgardzeni usłyszą z radością głos Boga: jesteście dziećmi Króla Nieba i Ziemi, poznajcie swoją godność, cieszcie się życiem doczesnym i wiecznym! Od lat cierpiący bez nadziei na poprawę sytuacji nagle usłyszą: jesteście błogosławieni, uzdrawiam was i oczyszczam, daję wam nową ziemię, bez kredytów, długów i niesprawiedliwości, podobną do rajy – wejdźcie do niej!

Reakcja wielu ludzi na dar poznania rzeczywistości oczyma Boga będzie dość gwałtowna. Ci, którzy kochali bliźnich, lecz nie byli przez nich kochani i cierpieli z tego powodu – nagle znajdą się w ich objęciach i popłyną łączy szczęścia w miejsce gorzkich łez smutku. Ci, którzy rozstali się z różnych powodów (choć

może ślubowali sobie, że się nie opuszczą) – będą się odszukiwać, choćby na krańcu świata, i okazywać sobie szczerą miłość, zablizniającą zadane rany. Ci, którzy zobaczą, że uniknęli piekła dzięki modlitwom i cierpieniom wielu dusz-ofiar – zechcą dobrze wykorzystać dane im „drugie życie”. Złodzieje i malwersanci – zechcą wynagrodzić szkody jednostkom i społeczeństwu, a ci nawróceni, którzy współdziałali w złu z innymi – zapragną ratować współników grzechu i pomóc im w uświęceniu. Podsumowując: da się zauważyć ogromna krzątanina wokół spraw Bożych, szlachetnych i pięknych, nadrabianie zaległości, rozmodlenie, radość i wdzięczność Bogu, udzielająca się nawet tym, którzy dopiero będą się budzić z obojętności, oziębłości i bylejakości. A księża...? „Synowie Lewiego”, przetopieni i „oczyszczeni jak złoto”, umierać będą ze zmęczenia, obłożeni w konfesjonalach!

Czy wszyscy się obudzą i zechcą pójść drogą największego przykazania miłowania Boga i bliźniego? Niestety nie! Do tych, którym nie wystarczy „Ostrzeżenie” do nawrócenia, będą należeć ludzie zaprzędani szatanowi, a takich jest, niestety, wielu w dzisiejszym świecie – masonów i satanistów trzeba liczyć na miliony. Otoczeni ludźmi im podobnymi, przyzwyczajeni do towarzystwa szatana, który w nich mieszka przez grzech odrzucenia Boga, syci bogactw „na długie lata”, oto jak zareagują na wizję uśmiechającego się do nich Chrystusa, zapraszającego do swego Królestwa: z miejsca odpowiedzą NIE! A gdy potem pokaże im konsekwencje takiego wyboru, a właściwie odrzucenia (nie On ich odrzuci, lecz oni Jego!) – zatną się jeszcze bardziej w swym uporze. „Ostrzeżenie” nie tylko nie zmobilizuje ich do poprawy życia, lecz wprost przeciwnie: napełni wściekłością właściwą ich panu, nienawiścią do wszystkiego co Boże i święte, żądzą niszczenia wszelkiego dobra, prawdy, piękna. Będą jak szerszenie, których gniazdo ktoś śmiał naruszyć, i rzucą się na śmiałka z całym swym śmiertelnościami i impetem. Oni to staną się prześladowcami Kościoła i jedne jego dzieci zabiją, inne zaś zmuszą do ucieczki i życia w ukryciu – na szczęście niezbyt długiego, gdyż Bóg wkrótce zabierze zdeprawowanych z tej ziemi (może lepiej powiedzieć: szatan za Bożym przyzwoleniem). „Trzy dni ciemności” mają zdecydować o ich wiecznym losie, który sami sobie zgotują, ufając szatanowi. Tak, ufając temu, któremu ufać nie powinni, gdyż zawsze jest i będzie kłamcą. On to ludzi ich obietnicą wiecznego szczęścia, a oni twierdzą, że skoro na ziemi mu służyli, a nawet oddali swoją duszę, mogą się spodziewać, że i po śmierci „krzywdy im nie zrobi”. Na ogół ani ludzie, ani nawet Bóg nie potrafi wyprowadzić ich z ciemności na światło, skoro ciemność umiłowali (por. J 3,19). Jedyne, co Bóg może dla nich uczynić, to uszanować ich wybór i przypieczętować go na wieki. Jakaś nikła szansa zbawienia niektórzy z nich jednak mają, o czym niżej.

### **„ZIEMSCY ANIOŁOWIE KRAWĘDZI” A DUSZE OZIĘBŁE**

Już widzę zdumienie niektórych spośród moich Czytelników: skoro jedni zapragną być wtedy lepszymi, a inni zatną się w uporze i odrzucą podaną im przez Boga rękę, po co nawołuję do „akcji ratunkowej” – szybkiej i heroicznej (zob. moje *Słowo z Mszy św. za Przyjaciół* oraz *Iskra z Polski*)?

Już odpowiadam. Spojrzeniem swoim objęliśmy dotychczas jakby „dwa bieguny” sobie przeciwne, na których znajdują się zdecydowanie dobrzy oraz pogrążeni w złu. Pomiedzy nimi jednak znajduje się „prawie bezwładna masa”, a więc ludzie wciąż niezdecydowani, ani zimni ani gorący – letni. Pozornie wydawałoby się, że na widok Chrystusa oraz stanu swojej duszy nie powinno im być zbyt trudno zapłonąć gorliwością o Bożą chwałę i pragnieniem dążenia do świętości. Pozory jednak mylą, a balansującym jakby na linie nad wieczną przepaścią może być łatwiej do niej wpaść, niż poszybować ku Niebu. O nich to mówił Pan Jezus świętej Faustynie (*Dzienn. 1228,1229, Nowenna do Miłosierdzia Bożego*) i podał modlitwę za nich:

Dzień dziewiąty.

*Dziś sprowadź mi dusze oziębłe i zanurz je w przepaści miłosierdzia mojego. Dusze te najboleśniej ranią serce moje. Największej odrazy doznała dusza moja w Ogrójcu od duszy oziębłej. One były powodem, iż wypowiedziałem: Ojcze, oddal ten kielich, jeżeli jest taka wola Twoja. – Dla nich jest ostateczna deska ratunku uciec się do miłosierdzia mojego.*

*Jezu najlitościwszy, któryś jest litością samą, wprowadzam do mieszkania najlitościwszego Serca Twego dusze oziębłe, niechaj w tym ogniu czystej miłości Twojej rozgrzeją się te złodowaciałe dusze, które podobne [są] do trupów i takim Cię wstrętem napawają. O Jezu najlitościwszy, użyj wszechmocy miłosierdzia swego i pociągnij je w sam żar miłości swojej, i obdarz je miłością świętą, bo Ty wszystko możesz.*

*Ogień i lód razem nie może być złączony,*

*Bo albo ogień zgaśnie, albo lód będzie roztopiony.  
Lecz miłosierdzie Twe, o Boże,  
Jeszcze większe nędze wspomóc może.*

*Ojcie Przedwieczny, spójrz okiem miłosierdzia na dusze oziębłe, a które są zamknięte w najlitościwszym Sercu Jezusa. Ojcie miłosierdzia, błagam Cię przez gorzkość męki Syna Twego i przez trzygodzinne konanie Jego na krzyżu, pozwól, aby i one wysławiały przepaść miłosierdzia Twego...*

Właśnie te „dusze oziębłe” możemy i powinniśmy ratować i doprowadzić do tego, by jako tonące mogły się uchwycić, wspomnianej przez Pana Jezusa, „deski ratunku”, co może być dla nich bardzo trudne! Uważały siebie za dobre, „przeciętnie dobre”, a tu nagle staną w prawdzie o sobie i o ranionym przez siebie Chrystusie! Będą więc musiały wspiąć się od rozpaczki, która jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu i prostą drogą do piekła, aż na wyżyny ufności, pokładanej w Bożym Miłosierdziu. Lód ma stać się ogniem, jak pisze św. Faustyna, co tylko ludzkimi siłami dokonać się nie może. I to nie w jakimś dłuższym czasie, lecz w momencie „Ostrzeżenia”, czyli sądu nad ludźmi ziemi!

Dlaczego aż tak *trudne* może być wtedy ich nawrócenie? Jak to możliwe, że nawet wielu z tych, którzy doświadczyli tego spotkania, wizji, sądu, *wcale nie nawróci się?*

Może tak być dlatego, że antychryst i fałszywy prorok posłużą się środkami przekazu oraz opiniami swoich „ekspertów”, by ludzi przekonać, że to wstrząsające przeżycie nie wymaga poważnego traktowania, naglej przemiany życia, że na razie trzeba odczekać i spokojnie robić swoje, a nie „destabilizować życia swojego, swoich bliskich, lokalnej społeczności”. Będą wołać: „Poczekajcie, ochłóńcie, dojdźcie do równowagi, a potem pomyślcie co dalej!” Chętnie zaliczą „Ostrzeżenie” do marzeń sennych, do gry wyobraźni, a może do serii „spotkań nie z tej ziemi”. Kto ich posłucha, popełni straszny błąd i z każdym dniem będzie coraz dalej od szczerego żalu i poprawy życia, a w końcu może stanąć na pozycji przeciwnej: zacznie wyśmiewać nawróconych i pobożnych, a potem... nawet ich prześladować i niszczyć! Ci zaś staną się tak łagodni, rozmodleni, gotowi na wszelkie ofiary z miłości do Boga, że nie zechcą walczyć o swoje ocalenie. Dobrze będzie, jeśli zdecydują się na ucieczkę lub ukrycie się.

Inny powód tego, że się nie nawrócą, to brak odwagi i ufności, koniecznej do uchwycenia się, jak kotwicy, podanej im przez Jezusa ręki. Kto żył z dala od Niego, gardził Jego nauką i Kościołem, a nawet z nim walczył, kto żył w ciemnościach grzechu i innych w nie wciągał, zachować się może jak syn marnotrawny z Jezusowej przypowieści. Spróbujmy teraz przeanalizować jego postawę w różnych momentach „życiowej przygody”.

W przypowieści ojciec czeka w domu, a tylko wygląda na drogę. Tym razem jednak Bóg uczyni coś wyjątkowego: „wyjdzie z domu” na poszukiwanie marnotrawnego (są nim wszyscy ludzie świata) i ten będzie mógł Go zobaczyć. Wyobraźmy więc sobie, że to spotkanie następuje w drodze do złudnej krainy szczęścia dla bogaczy. Syn, zaskoczony przez ojca w drodze, rzuca się do ucieczki myśląc: „Stary nie da mi pożyć! Jego niedoczekanie! Teraz ja wiem, jak się urządzić, nareszcie się od niego uwolniłem!”

Następne spotkanie następuje w domu nierządnic. Syn znowu ucieka, bo ojciec chce mu pokrzyżować „dobre zainwestowanie pieniędzy”! I dalej ucieka, izoluje się od poszukującego go ojca wiele razy na różnych etapach poszukiwania ziemskiego szczęścia.

Gdy wpadł w biedę, pozostaje mu już tylko pasienie świń, a nawet odpędzany jest od świńskiego koryta. Co za hańba dla Żyda, traktowanego gorzej niż „nieczyste” zwierzęta! Hańba, ale i głód, i cierpienie, które dla wielu może być ostatnią deską ratunku dla ich nawrócenia. Może już zmiękło jego serce? Na świńskim pastwisku pojawia się ojciec, ale... zastaje syna na tyle pograżonego w rozpaczki, że nie ma do niego żadnego dostępu: ten nie chce go słuchać, a na wszelkie próby zbliżenia, serdecznego objęcia, odpowiada opryskliwością i gniewem. Takim ludziom złe duchy łatwo wykrzywają obraz Boga jako dalekiego, nieprzystępnego, obojętnego na ich los, a nawet mściwego, więc nie potrafią się do Niego zwrócić w modlitwie, a tym bardziej zaufać Mu i chcieć zacząć pełnić Jego wolę.

Gdy głód staje się nieznośny, syn podejmuje decyzję i wyrusza w kierunku domu, ale, niestety, tylko z egoizmu, nie mając innego wyjścia! Wracając, wcale nie myśli o ogromnym cierpieniu swojego ojca, za spowodowanie którego trzeba bardzo żałować, przeprosić, odpokutować, lecz o zaspokojeniu swoich własnych potrzeb: może uda mu się ukradkiem wmieszać pomiędzy sługi i najeść się do syta, zamiast cierpieć głód i poniżenie. Trwa więc ciągle w stanie odrzucania, a może omijania ojca, i jest upokorzony i

wściekły, gdy nagle ten wychodzi mu na spotkanie! Wcale nie chciał dać mu dostępu do swojej biednej przeszłości, lecz będzie to nieuniknione – będzie teraz osądzony (w naszym wypadku chodzi o sakrament pokuty w warunkach zwyczajnych, a o „prześwietenie sumienia” w „Ostrzeżeniu”), więc chętnie rzuciłby się do ucieczki, a powstrzymuje go tylko głód. Miłość ojca, pełna tęsknoty za nim, jest dla niego czymś obcym i niezrozumiałym: „agresywna” w tym wybiegnięciu mu naprzeciw, mocnym uścisku, zamknięciu ust próbującemu się usprawiedliwiać winowajcy, wybaczeniu wszystkiego, zorganizowaniu hucznej zabawy.

Możemy przypuszczać, że wielu takich marnotrawnych synów nie spojrzy przychodzącemu w chwale Jezusowi w oczy, nie pozwoli „objąć się za szyję” i uścisnąć, zwłaszcza na widok swego zmarnowanego życia, lecz wprost przeciwnie – zawoła do gór: „Padnijcie na mnie!”, a do pagórków: „Przykryjcie mnie!” i odizolujcie od przenikliwego wzroku Jezusa! (por. Łk 23,30). I tym właśnie ludziom, stającym w ten sposób na krawędzi wiecznego potępienia, możemy właśnie my przyjść z pomocą, jeśli (zwłaszcza teraz – pod koniec okresu Bożego Miłosierdzia) za nich będziemy się modlić i Bogu ofiarować swój codzienny krzyż, a może nawet swoje męczeństwo za wiarę, do którego niektórzy z nas będą powołani.

Z „Kalendarza Anielskiego”, obecnie niedostępnego, zapamiętałem (pod jaką datą umieszczony – nie pamiętam) opis **Anioła Krawędzi**: jest olbrzymem, mocarzem, bez przerwy czuwającym na granicy życia i śmierci, między ziemią a krawędzią piekła, do którego wpadają dusze grzeszników. Gdy tylko jakiś najmniejszy pretekst na to pozwala, gdy horda piekielnych duchów nie ma jeszcze ostatecznego pozwolenia na porwanie duszy jako „swojej”, rzuca się jej na ratunek i porywa ją z tej krawędzi wzwyż, z ciemności ku światłu, w kierunku Wiecznej Światłości. Łatwo się domyślić, że dusza ta nagle otrzymuje największą z łask: szczerzy żal za grzechy, wystarczający do zbawienia.

Kojarzy mi się ta służba Anioła Krawędzi z naszą, z wykorzystaniem przez dusze-ofiary wszelkich możliwości, by ratować ginących. Jest to specjalne powołanie, niełatwe i ogromnie odpowiedzialne, a nawet niezastąpione wobec zbliżającego się „Ostrzeżenia”. To porównanie pozwala mi nazwać dusze-ofiary „ziemskimi aniołami krawędzi”!

### W DWUSZEREGU ZBIÓRKA! NA RAMIĘ BRONÍ!

Może i Ty, Drogi Czytelniku, rozpoznasz u siebie to powołanie...? Może razem staniemy **W PIERWSZYM SZEREGU** tych, na których ostatnie ofiary czeka Niebo, by już zamknąć jedną kartę dziejów, a przystąpić do otwierania następnej? Czy nie płonie w Tobie ogień ofiary – gorące pragnienie poświęcenia się za miliony grzeszników? Nawet jeśli do tej pory Twoje serce nie otwierało się aż tak szeroko – miałeś wątpliwości, czy Twoja ofiara „wystarczy” nawet tylko za kogoś z członków Twojej rodziny – to teraz wiedz, że w ostatnich chwilach starego świata jest inaczej: Twoja ofiara, jeśli złączysz ją z Ofiarą Chrystusa, może być ratunkiem dla ogromnej rzeszy ludzi! Czy kropla wody, wpuszczona do oceanu, nie staje się oceanem? Podobnie jest z naszą „kroplą” ofiarnej miłości, gdy nasz Pan złączy ją ze swoją miłością i zanieśie całą „ocean” przed tron Ojca Niebieskiego. Jezus nie porwie jednak tej „kropli” przemocą, lecz z wdzięcznością przyjmie ofiarowaną. Ojciec Niebieski nie pozwoli Mu na powtórne złożenie siebie samego w ofierze krzyżowej, choć Miłość jest gotowa na wszystko, jednak czeka na nasze ofiary.

A co będzie – zapytasz – jeśli Bóg weźmie moją ofiarę „na poważnie” i zechce dać mi łaskę męczeństwa? Jest to tak wielka łaska – odpowiem – że warto jej pragnąć, chociaż nie zawsze łatwo o nią prosić... Jeśli pozwolisz Duchowi Świętemu swobodnie modlić się w Tobie, łatwiej ją otrzymasz, szczególnie dzięki Jego darom męstwa i mądrości. Męstwo napełnia nas odwagą, porywa serce do wielkich czynów, pobudza do heroizmu, zaś mądrość pozwala na wszystkie ziemskie rzeczy i sprawy patrzeć pod kątem wieczności, a więc we właściwej perspektywie: to, co najważniejsze, umieścić na pierwszym planie.

Skoro już wiesz, że to ja jestem autorem książki „Wejdz do radości”, powiem Ci bez ogródek, że ostatni jej rozdział zawiera opis... mojej własnej śmierci! Szczegóły tego opisu nie są istotne – może to być nóż, a może kula z pistoletu – ważne jest to, że krótki ból konającego, do tego złagodzony przez Anioła Stróża, w jednym momencie zamienia się w Wieczną Radość! I do tej Radości drży już teraz moje serce, odliczam miesiące, które mnie od niej dzielą. To, że umieściłem tę scenę w pobliżu końca świata, wcale nie znaczy, że to jest jej właściwe miejsce. Wprawdzie będzie to wtedy czas męczenników (ostatnich, gdyż nikt już do czyśćca nie pójdzie – nie będzie go, lecz wszyscy muszą oczyścić się na ziemi), jednak i teraz nadchodzą dni męczeństwa wielu. Padną oni, jak wspominałem, pod ciosami tych, którzy po „Ostrzeżeniu”, zamiast się



nawrócić, jeszcze mocniej przylgną do szatana i staną się jego sługami, a ich prześladowcami.

Jednak nawet i dla tych nieszczęsnych prześladowców będzie jeszcze ostatnia szansa. Otóż miłość ich ofiar – ludzi przez nich prześladowanych – dzięki łasce Boga może stopić ich lód i zamienić w ogień. Mówią święci, że nikt nie może otrzymać od Boga tak wielkiego naręcza łask, jak ofiara dla swojego prześladowcy, jeśli tylko za niego prosi; jak Szczepan dla Szawła, uczestniczącego w zadawaniu mu śmierci. To dlatego na samym wstępie do tego listu zamieściłem parafrazę słów Pana Jezusa: „Nikt nie ma większej miłości niż ten, kto życie swoje oddaje za swoich przyjaciół” – za tych, którzy są nimi dzisiaj, ale i za tych, którzy będą nimi w przyszłości, a *dzisiaj są jeszcze wrogami!*

O moi Przyjaciele-zabójcy, bliżsi mi z każdym krokiem, który prowadzi Was do mnie! Choć tego nie wiecie, swoim czynem weźmiecie udział w przygotowaniu wszystkiego na moje największe święto – na dzień mojego „wniebowzięcia”! To prawda, że od lat modliłem się za Was i teraz to czynię. Widziałem Wasze twarze na swoim pogrzebie. Obiecuję Wam, że gdy opuścicie ziemię, razem z Waszymi Aniołami Stróżami i innymi bliskimi z radością wyjdę Wam na spotkanie, poprowadzimy Was wspólnie do Bramy Nieba!

Drogi Czytelniku, możesz stanąć wobec pytania: po czym mógłbym poznać, że ta właśnie łaska Boża – łaska przeistoczenia się w „anioła krawędzi”, a może nawet męczeństwa za wiarę – może stać się moim udziałem? Na to pytanie nie potrafię Ci odpowiedzieć, gdyż Bóg nie posługuje się jednym szablonem w odniesieniu do wszystkich swoich dzieci. Jeśli zapytasz Go o to, z pewnością otrzymasz Jego wyraźną odpowiedź, choć w swoim czasie. Ja otrzymałem ją wiele razy i na różne sposoby. Prosiłem nawet o jej potwierdzenie przez „pieczęć Ducha Świętego – pieczęć tęsknoty”, i taką też otrzymałem. Muszę przyznać, że powaliła mnie! To już nie było to młodzieńcze odpływanie w „różową dal”, choć i tamto było porywające, lecz tak strasznie mocne pragnienie Nieba, że noc stała się dniem, a ziemskie życie – wprost niemożliwym! Dobrze, że trwało to tak krótko, gdyż nie potrafiłbym z tym żyć, a więc i w tej chwili pisać! Rozumiem teraz błaganie świętego Ignacego z Antiochii, wziętego na śmierć do Rzymu (na arenie cyrkowej miał być zabity przez dzikie zwierzęta), by nikt nie modlił się o jego ocalenie, gdyż dla niego „ocaleniem” była już tylko... upragniona śmierć! „Pozwólcie mi żyć” – znaczyło dla niego: „Pozwólcie mi umrzeć”. Czyż zresztą podobnych słów nie wyszeptał bł. Jan Paweł II w ostatnich ziemskich godzinach?

Jedną z najwyraźniejszych oznak takiego powołania może być przemożne pragnienie uratowania wielkiej (jak największej!) liczby dusz od wiecznej śmierci. Nie wystarczy (w tym wypadku) chcieć tylko włączyć się do szeregu dusz-ofiar, to znaczy tych, którzy po prostu siebie składają Bogu w ofierze (bez jakiegoś ukierunkowania swojej ofiary), gdyż do takiej ofiary powinni dojrzeć absolutnie wszyscy ludzie! To właśnie ona sprawia, że zaczynają oni uczestniczyć w kapłaństwie powszechnym, zobowiązani przykazaniem do miłowania Boga ze wszystkich swoich sił i możliwości. Trzeba tu zaznaczyć, że wielu, niestety, wcale nie dojrzewa na ziemi do takiego pełnego ofiarowania się Bogu z miłości; osiągają to dopiero wówczas, gdy muszą rzucić się po sądzie w otchłań czyścica. Tam jednak ich ofiara już nikomu, poza nimi samymi, raczej pomóc nie może, a więc *nie uczyni z nich apostołów*, gdyż to jest możliwe *tylko na ziemi*. Tak, tylko i wyłącznie tu i teraz można stać się apostołem Jezusa i przystąpić do połowu dusz... siecią własnej za nie ofiary (choć nie jedyna to sieć). I powtarzam: jeśli ktoś rozpozna teraz w sobie nie tylko ogień miłowania Boga w sposób ofiarny, ze wszystkich sił, ale także *ogromne pragnienie doprowadzenia do Niego wielu za cenę własnej ofiary* – może przypuszczać, że został zdobyty dla Bożej Sprawy. Najprawdopodobniej będzie więc teraz prowadzony przez Ducha Świętego w kierunku najbardziej wzniosłej służby i najwspanialszego ze wszystkich powołań.

– Czy co do samego siebie – jesteś tego pewien? – może ktoś zapytać... Ofiarowałem się Bogu w tej intencji już dawno temu, może przed 35 laty, i odnoszę wrażenie, że moja ofiara została przyjęta. Nawet nabieram pewności. Czekaając na Swój Dzień, czuję się coraz bardziej wolny i szczęśliwy. Co zaś do sposobu, w jaki moja dusza opuści ten świat – tak, jestem go pewien, choć szczegóły nie są tu istotne. Jeśli chodzi o czas – nie mam tej pewności, i pewno nikt mieć jej nie będzie. Czyż nasz Pan nie porównał siebie do złodzieja, który zaskakuje w nocy swoim przyjściem? Mimo jednak braku tej pewności, z wielką nadzieją i radością odliczam już miesiące, które dzielą mnie od tego najwspanialszego i najbardziej uroczystego dnia mojego ziemskiego życia!

Czy może być jednak tak, że kogoś ogarnie takie przemożne pragnienie i uzna w nim łaskę Bożą, jednak

ofiara jego nie zostanie przez Boga przyjęta, tzn. nie umrze śmiercią męczenników?

Pytanie zostało źle postawione: nie istnieje nawet najmniejszy okruszek miłości, który by nie był przez Boga dostrzeżony, przyjęty i doceniony, gdyż... On patrzy w serce! Patrzy w nie zarówno tam, gdzie chodzi o miłość, jak i o jej zaprzeczenie (np. „cudzołóstwo w sercu” pod wpływem pożądlivych spojrzeń, napiętnowane przez Pana Jezusa). Istnieją dwa rodzaje męczeństwa: męczeństwo krwi i męczeństwo pragnienia (inaczej: w pragnieniu). To drugie, najczęściej dłużej trwające, nawet całymi latami, może być nie mniej zasługujące niż pierwsze! Jeśli ktoś spala się powoli jak świeca, dzień po dniu, a przy tym spala się w ofierze za nawrócenie grzeszników, jak Bóg mógłby nie przyjąć jego ofiary?! Bardzo ceni ją sobie na ziemi i sownie wynagrodzi w wieczności – kto wie, czy nie postawi jej na równi z ofiarą znanych apostołów i męczenników.

Tak więc dusze-ofiary, nie mające pewności, do którego z tych dwóch rodzajów męczeństwa zostały powołane, niech mężnie i cierpliwie niosą swój codzienny krzyż, ale warunek: niech rozszerzą teraz swoje serce na całe miliony zagrożonych dusz, a swoją „sieć rybacką” niech reperują, przeplatają i wiążą, aż będzie się nadawała do *wielkich połowów*. Ta „sieć” to *nadzieja*. Właśnie od niej zależy obfitość połowu dusz, i tylko ona daje się zanurzyć w Oceanie Bożego Miłosierdzia – tego Miłosierdzia, które chcemy wyjednać dla grzeszników.

Od wielu Czytelników, powołanych do tego, by otrzymać wielką łaskę życia w „Nowym Świecie”, Bóg oczekuje w tej chwili stawania się „aniołami krawędzi” przez wejście na drogę męczeństwa w pragnieniu. Pewną pomocą w tym względzie może być moja książka „W Szkole Krzyża”, na końcu jej pierwszego tomu zamieściłem nowennę przed dniem ofiarowania się Bogu za zbawienie bliźnich. Wykorzystały ją już przez lata tysiące ludzi, a wielu z nich ponawia tę nowennę co roku, traktując ją jako przygotowanie się do Wielkiego Piątku, kiedy to dusze-ofiary ponawiają swój akt oddania się Bogu. Kto się „przegryzie” przez tę nowennę, złożoną z rozmyślania i modlitwy na każdy dzień, może mieć ułatwioną i decyzję, i drogę, jeśli na nią wstąpi. Ja zaś obiecuję, że wszystkich kroczących tą drogą będę wspierać codziennym błogosławieństwem o godzinie 15-tej, włączę także ich intencje w Mszę świętą za wszystkie dusze-ofiary świata w Wielki Czwartek, a więc w ostatnim dniu nowenny, a w wigilię Wielkiego Piątku. W tym roku nowenna przed Wielkim Piątkiem rozpoczyna się 28 marca.

Ziemsy „aniołowie krawędzi”, którzy z jakichś względów nie chcą lub boją się stanąć w pierwszym szeregu dusz-ofiar, powinni znaleźć sobie miejsce... **W DRUGIM SZEREGU!** Mają oni pracować i walczyć, i to teraz z największym poświęceniem, przynajmniej **bronią modlitwy**. Rodzaj tej modlitwy wskazywało nam Niebo wiele razy: jest nią przede wszystkim Msza święta, adoracja Najświętszego Sakramentu, Różaniec, Koronka do Miłosierdzia Bożego, zanurzanie grzeszników we Krwi Chrystusa. (Co do naszego codziennego Różańca – to właśnie on, pozbierany z całego świata, ma stać się tym łańcuchem, którym związany zostanie przez Anioła Apokalipsy szatan, by „*nie zwodził narodów*”). Jeśli nawet ktoś te modlitwy praktykował, niech w tej chwili na nowo przemyśli, razem ze mną, ich cechy i zasięg. Proszę mi jednak wybaczyć, że będzie to zaledwie kilka uwag, a mogłaby być cała książka!

Wielu skarżyło się na trudności w pełnym uczestnictwie we Mszy świętej. Udzielałem prostej rady: nie traktuj jej jak swoich modlitw osobistych w domowym zaciszu i nie próbuj się „skupiać”, bo to jest trudne, lecz wprost przeciwnie – „rozprosz się”, i to maksymalnie, na cały świat! Weź w swoje dłonie ludzi wokół, swoje środowisko, ojczyznę, całą kulę ziemską, i podnoś z ufnością, miłością, mocą ku Niebu, ku Ojcu przez Chrystusa w Duchu Świętym. Gdy będziesz prosić za miliardy ludzi, wszystkim Bóg udzieli łaski w obfitości, gdyż On nie jest ograniczony w swoich darach – nigdy Mu ich nie zabraknie, a każdego człowieka kocha całą swoją miłością. To samo dotyczy innych modlitw, jeśli tylko wypływają z serca.

Nie za bardzo wierzymy w „automatyzm” modlitw, nieraz połączonych z kuszącymi obietnicami i ze szczegółowym wyliczeniem „przydziału łask”, gdyż trzeba na to spojrzeć nieco inaczej. Skutek każdej modlitwy zależy przede wszystkim od miłości, ufności, bezinteresowności, z jaką z serca wypływa, a niekoniecznie od ilości, a nawet jakości słów. Dwie osoby mogą odmówić tę samą modlitwę, ale każda zrobi to inaczej, w innym duchu, z innym zaangażowaniem, z różnym stopniem zanurzenia w łasce Bożej, więc i jej skutki mogą być różne. Poza tym strzeżmy się modlitw, nie posiadających aprobaty władzy duchownej, gdyż właśnie ta władza ma jakby „klucz” do skarbcza Bożych łask, udzielanych Kościołowi. Nie dziwny się więc temu, że biskupi nie zgadzają się na drukowanie nowych modlitw bez ich aprobaty. Chodzi tu nie tylko

o uniknięcie błędów teologicznych i dziwolągów, lecz i o obfite czerpanie właśnie z tego skarbcza.

Jest prawdą, że nasze modlitwy będą się nam nieraz wydawać nijakie, słabe, mało skuteczne, a i piekielne duchy będą nam je zakłócać i zniechęcać nas do nich. Weźmy jednak pod uwagę, że o ile na prośby o czyjeś zdrowie czy ziemską pomyślność Bóg może nie odpowiadać, bo niekoniecznie jest to dla nas korzystne, to na modlitwę o czyjeś nawrócenie, uświęcenie, zbawienie – „musi” odpowiedzieć, i to zawsze i bez wyjątku, choć w swoim czasie, a nie naszym! Ten „przymus” wynika z Jego nieskończonej miłości do każdego Jego dziecka i na gorącym pragnieniu uczynienia go szczęśliwym. Pamiętajmy jednak o dwóch ważnych rzeczach: że zbawienie jednych Bóg uzależnił od *apostolstwa innych*, by tym innym stworzyć pole do zasług, jak też o tym, że udziela z obfitości swoich darów na miarę *ufności* w Nim pokładanej.

A teraz... najwyższy czas – godziny są policzone! – byśmy rzucili się z bronią modlitwy na ratunek już nie tylko swoim znajomym, nie tylko swojej ojczyźnie (piszę to jako członek Krucjaty Różańcowej za Ojczyznę, jednak z mocą powtarzam: *nie tylko Ojczyźnie!*), gdyż niedługo – jak gdzie indziej wspominam – apokaliptyczny Anioł z Kadzielnicą zakończy swoją misję przed tronem Boga. Gdy już ostatnia modlitwa z ziemi zostanie przyjęta, dym kadzidła przestanie się unosić, Bóg wyciągnie swą sprawiedliwą dłoń nad ziemią. Gdy jeszcze na razie ten dym się unosi, gdy trwa okres Bożego Miłosierdzia, spieszmy się! Poszerzmy swoje serce i nie bójmy się prosić o nawrócenie, zdobywać dla Boga *bardzo wielu serc*, jak ci z „pierwszego szeregu”, którzy ofiarują się Bogu „za nawrócenie milionów”. I oby do tej „akcji ratunkowej” przystąpili teraz *wszyscy!* Jak jednak do nich dotrzeć w obecnej sytuacji? Kto tylko może, niech werbuje ochotników do naszej armii, wskazuje lekturę, podsuwa argumenty, przyświeca własnym przykładem.

Jeśli, Drogi Czytelniku, zaczniesz myśleć o włączeniu się do tego „drugiego szeregu”, trzeba, byś nabrał *zapału i ducha ofiarności*. Zanurz więc swoje serce... może najpierw w „lodzie”, a potem w „ogniu”: przeczytaj opis jakiegoś doświadczenia piekła (np. św. Faustyny, św. Jana Bosko, Łucji z Fatimy, Józefy Menendez, siostry M. z W.), a potem Nieba (również św. Jana Bosko – jego spotkanie ze św. Dominikiem Savio, a może pilota Dale Blacka z książki „Lot do Nieba” czy Don Pipera z „90 minut w Niebie”, obie wydawn. Polwen). Po takiej „duchowej kąpieli” jaśniej sobie uświadomisz niezastąpione zadanie „ziemskiego anioła krawędzi” wobec zbliżających się do skraju wiecznej przepaści tych, których powołaniem jest wzlecieć ku Wiecznemu Szczęściu. Wtedy z ogromną ufnością w Boże miłosierdzie natychmiast zajmij swoje miejsce przy tej „krawędzi” i działaj, dopóki to możliwe! Owoce poznasz w przyszłości, a teraz... być może doznasz wielu przeszkód i zniechęcenia, lecz one mogą być tylko potwierdzeniem ważności Twojej misji. Im bardziej piekło dostanie po głowie (i będzie tracić swoje ofiary), tym bardziej będzie się wściekać (może uderzając w Ciebie?), a Ty – tym bardziej masz się cieszyć!

Niech na mocarnego Anioła Krawędzi wejrzy teraz Miłosierny Bóg i tysiącrotnie, w obliczu nadchodzącego „Ostrzeżenia”, pomnoży jego siły. Niech też – przez przemożne orędownictwo Maryi, Matki Miłosierdzia – błogosławi wszystkie swoje „ziemskie anioły krawędzi” na walkę o dusze, a ich „sieci na połów” powiększy i wzmocni: Bóg Ojciec i Syn i Duch Święty.

Matko Najświętsza, wkrótce obeschną Twoje krwawe łyzy, bo bliski już jest Tryumf Twego Niepokalanego Serca, o który wspólnie walczymy!